TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 32. Chicago, Ill., Czwartek, 11-go Sierpnia, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Pietrasz z synem zwrócili się ku drzwiom wchodowym, furtyan z za drugich drzwi z boku komina wywołał starego pachołka i wyprawił go z łuczywem na pomoc podróżnym, jemu bowiem dla żadnego powodu nie godziło się opuszczać stanowiska, od którego bezpieczeństwo całego domu zależało.

Niebawem przy furcie dały się słyszeć głosy i stąpania, i wnet państwo z Brzezia ukazali się w refektarzu, ponawiając chrześciańskie powitanie; za nimi Rzepka niosła Małgosię, Jaśko wszystkie futra miał przewieszone przez ramię, a i Matys dźwigał rozliczne z woza wyściółki. Tym razem nie sam furtyan odpowiedział na powitanie, ciemna postać zgięta przy ognisku, powiedziawszy grubym głosem:

— Na wielki wieków Amen! — dodała: — Witajcie, mili sąsiedzi!

— Czy mnie słuch myli? — spytał przystępując Pietrasz.

— Czy nam Pan Bóg dał tę pociechę, byśmy tu stryja Benka napotkali? — rzekła Hanna ciekawie się przypatrując.

— Nie takać to tam wielka pociecha spotkać starego Grądę — odmruknęła ciemna postać, występując z cieni — a dążąc do Krakowa, na Tyńcu się zjechać nie trudno.

Postać to była wyniosła; choć głowa

siwym włosem pokryta chyliła się nieco na piersi, z pod białych krzaczystych brwi jasno strzelały ciemnych oczu promienie i z pod sumiastych wąsów śmiały się rumiane usta, jak częstokołem białemi zęby zastawione. Otworzyły się szeroko rozrosłe ramiona, Pietrasz, Hanna i Jaśko posunęli się ochotnie z ucałowaniem, Rzepka tylko i Matys do kolan się schylili; Benko ramion nie zamykał, domyślna Hanna pochwyciła dziecię na ręce — wtedy utulił wszystkich, mówiąc:

— Ot tak, zmieścicie się tu wszyscy, jak w sercu. — I raz jeszcze powtórzyły się uściski: poczem stary Grąda podniósł dobrotliwie Matysa i Rzepkę, pozdrowił ich życzliwie i poczęła się pogadanka.

Pokazało się z niej, że rodzina Pietrasza za powództwem Hanny wybrała się przed Wielkanocą do Krakowa, dla dopełnienia obowiązków religijnych i załatwienia niektórych spraw, Benko Grąda zaś został wezwany, a raczej zaproszony przez króla na kilka świątecznych tygodni do dworu.

Był on starym przyjacielem, pamiętającym jeszcze czasy wielkiego Bolka i pod jego wodzą na Ruś i Niemcy chodził ochotnie. Dodany do pomocy Mieczysławowi II, nie mało miał do czynienia przeciw dumie i intrygom królowej Ryksy, która niemieckie zwyczaje tylko ceniąc, wprowadzała je na dwór królewski, ziomkom swoim i cesarskim poplecznikom powierzała urzędy i nadawała dostatki; uważając krajowców, jako ciemnych i dzikich prostaków, ledwie ich uznawała godnymi na podnóżki swej pychy. Benko przez pamięć lat dawnych zachował pewien wpływ na umysł Mieczysława, budził w nim wspomnienia wielkiego ojca, przypominał dalekie wyprawy, cześć odbieraną w Gnieźnie od niemieckiego cesarza, surowy wymiar sprawiedliwości i nieraz mu się udawało przeciągnąć młodego monarchę do silniejszych postanowień, do otrząśnienia się z niemieckiego i kobiecego kierunku. Ale za to podnosiła się przeciw niemu niechęć królowej; niecierpiała jego rad i jego osoby, a w ostatnich latach u Mieszka dokazała tego, iż nietylko nie miał do króla przystępu, ale nawet tenże, zakrapiając się mocnym miodem nad miarę, przestał go w ostatnich latach szanować, lubić i wyrzutów się jego lękając, sam mu swoje komnaty zamykać rozkazał.

Ciężka to była pora dla zacnego i poważnego męża; przez czas rządów Ryksy usunął się Benko od dworu, osiadł w swoich Grądach i jak Piast niegdyś, oddał się kawałkowi swojej ziemi, pracując nad jej uprawą, kiedy mu już dla całej pracować nie było wolno. Lecz wola jego była silna chęci poczciwe i niezachwiane postanowienie służyć tylko dobremu; nie mogąc sam złemu zaradzić, upominał współziemian swoich, nawoływał do uwagi nad wychowaniem młodego Kazimierza, by kiedyś wyszedłszy z pod przewrotnej opieki matki, mógł, godnie w ślady dziada wstępując, szczęśliwie krajowi panować. Skoro dumna córa niemieckich cesarzy opuściła nakoniec nieumiejącą ocenić jej przymiotów ziemię i jedynaka swego zabrała, by go podług swoich pojęć wychować, niezgody i swawola zalały kraj bez rządu i ładu pozostały, a wiara chwiać się zaczęła. Rozpoczął się nacisk sąsiadów; przerzucanie się knieci od jednego do drugiego rycerskiego przewódzcy i pomimo, że nie brakło ludzi rozumiejących prawdę, co zacne czyny i dobre słowa rzucali bogato między obłąkanych ziomków, co jak kamienie drogowe stali silnie ku wskazaniu, jak i którędy postępować trzeba — ciężko było zaradzić licznym klęskom.

Benko był jednym z takich ludzi zebrał pod dach swój grono tych mężów, przemówił do nich jasno i gorąco, wywołał poczciwe narady, których skutkiem było postanowienie, iż koniecznością jest postawić rządzcę na czele narodu, by nad nim czuwał i strzegł jego dobra. Zamiast do obcych o to się zwracać, lub z pomiędzy siebie wybierać, nie wiedząc, jak to przyjętym zostanie, lepiej było odszukać odrośl Piastowego domu, usychającą może na obczyźnie, gdyż wierzono powszechnie, że dwa wieki wspólnej pracy i miłości na zawsze związały ród królewski z narodem.

Ale gdzie było szukać królewicza, który tymczasem już pewnie w dojrzałego wyrósł młodziana?

W pierwszych czasach po wyjeździe Ryksy, oburzeni na nią Polacy, niechętnem

uczuciem, jakie w ich sercach wzbudziła, ogarnęli i syna, nie bardzo bacząc, że opuścić matkę w takiej chwili ani mógł, ani był powinien. Okazali więc niemiłej sobie królewskiej wdowie i jej dziecięciu zupełną obojętność, a tym sposobem stracili też i wiadomość, gdzie królowa zawiozła syna.

Trzeba więc było puścić się w świat, na zwiady. Do grona poszukujących przyłączył się Benko Grąda, a rozwagą, doświadczeniem i gorliwością, wyszedł na przewodniczącego wysłańcom.

Wszelkie czyny i zamiary ludzkie Bóg w mądrości swojej ku dobremu kieruje Ryksa za niechęć zasłużoną wprawdzie, zdwojoną płacąc Polakom niechęcią, postanowiła z początku usunąć syna z przed ich oczu zupełnie, umieszczając go pod pozorem wychowania w niemieckim klasztorze; sama zaś, składając część zebranych w Polsce skarbów do rozrządzenia cesarskiego wuja, wyrobiła sobie na własność hrabstwo Salefeld i w niem osiadła. Tam w samotności żyjąc, od spraw i rządów wszelkich daleka, więcej mając czasu na szczerą modlitwę, weszła w siebie; uznała, że jej nie służyło prawo rozrządzać dalszym losem własnego syna bez jego zgody, ani zabierać całemu narodowi przeznaczonego mu władcę i kierownika. Poczęła sobie wyrzucać samowolny swój postępek i żałować zbytniego pospiechu, osobliwie, gdy Kazimierz, zamknięty dotąd w niemieckim klasztorze, przysłał do niej z prośbą, by mu pozwoliła przenieść się do Francyi, bo tam wyżej stały nauki, w których się chciał wydoskonalić.

Właśnie hrabina Ryksa rozmyślała nad odezwą syna, gdy polscy wysłańcy, nie wiedząc gdzie mają szukać swojego księcia, doszedłszy, że matka jego mieszka niedaleko Kolonii, nadjechali do jej zamku i Benko w imioniu innych do jej bramy zapukał.

Skoro opowiedzieli marszałkowi z czem i zkąd do niej przybyli, rozkazała przyjąć ich gościnnie i lubo dopiero nazajutrz udzieliła im posłuchania, nie stawiała żadnych trudności; wskazało im opactwo Cluny, sławne rozwinięciem nauk, na zdobycie których zjeżdżało się mnóstwo młodzieży z całej Europy i gdzie właśnie syn jedyny Mieczysława Lamberta, Kazimierz Karol, przebywał.

Dłuższego było potrzeba czasu, zaczem posłowie z Polski zdołali przekonać księcia, że obowiązek ratowania swojego kraju, upadającego wśród kłótni i nierządu, pilniejszym był nad oddanie się modlitwie i poświęcenie się na ciche klasztorne życie. Musieli opowiadać, jakich nadużyć dopuszczali się starostowie i wojewodowie, jak w dalszych od stolicy prowincyach wracano do dawnych pogańskich nawet zwyczajów i jak niewiele już było potrzeba, by silnie przez Bolesława zjednoczone części kraju poczęły się rozpadać pod nowem coraz panowaniem. Wzruszony nakoniec Kazimierz obrazem nieładu, jaki mu przedstawiano i klęsk rozlicznych, które ztąd bez liczby rozlały się po ziemi, znanej mu z kwitnącego stanu, postanowił pospieszyć na jej ratunek i noc całą spędziwszy na modlitwie, rankiem, po mszy, przedstawił się przełożonemu, prosząc go o uwolnienie od klasztornych obowiązków. Że jeszcze ani ślubów nie złożył, ani święceń nie otrzymał, pozwolono mu wracać do miejsca, gdzie się urodził i przyrzeczono, że skoro tylko spokój wewnętrzny ustali i papiezkie pozwolenie otrzyma, przybędzie doń z Kluniaku grono Benedyktynów, z którymi spędził młode swoje lata i którzy przyrzekali nieść mu serdecznie religijną i naukową pomoc.

Nie tracąc czasu, młody dziedzic Bolesławowego tronu pospieszył ratować swoję ziemię, rozlicznemi zalaną klęskami, przed sobą jeszcze puściwszy wieść radosną, że się dobra rada zbliża. Jakoż, co jeszcze porządkowi było przyjaznem, własnych nie szukając korzyści, pozbierało się w liczne kółka, aby było komu otoczyć młodego władcę, skoro stanie między swoim ludem i silnemi ramiony usiłowania jego podeprzeć.

Rozumnie sobie Kazimierz postąpił, że wrócił szczupłym dworem rodaków otoczony, bez sąsiednich stryjowi książąt niemieckich, którzy mu ochotnie towarzyszyć pragnęli i bez duchownej młodzi, która słysząc, że się w Polsce pogańskie czasy wróciły, uniesiona pragnieniem nawracania, lub zyskania męczeńskiej korony, zabiegała księciu drogę w chwili odjazdu jego z klaszto-

ru, że aż błagać ich musiał, by chcieli doczekać od niego jakiego znaku, bo nie wiedział sam, na co jechał do domu.

Kiedy przejechał granice opuszczone od należnej straży, kiedy ujrzał porozwalane strażnice, które jeszcze w dzieciństwie jego silnie przyjezdnym nakazywały uszanowanie, gdy ujrzał końmi stratowane drogi, popalone wioski, zburzone dwory i w wielu miejscach opuszczone kościoły, młody książe zatrzymał się i boleśnie ręce załamał, a łza smutku oczy jego zwilżyła. Ale wiadomość o przybyciu serdecznego księcia lotem iskry rozniosła się po kraju i ze wszech stron zaczął naprzeciw niemu płynąć lud życzliwy, pochylając kornie głowy i śpiewając rozgłośnie: “A witajże nam, hospodynie miły!”...

Tak opowiadał Benko Gręda, pilnych mając słuchaczy w Pietraszu i Janku z Brzezia, z których jeden na ławie obok opowiadającego, a młodszy o komin oparty, nasłuchiwał ciekawie, lubo nie po raz pierwszy z tą się przeszłością spotykał.

Tymczasem Hanna, cicho i zdaleka się pokłoniwszy, by rozmowie nie przeszkodzić, za wskazaniem furtyana wysunęła się z Małgosią bocznemi drzwiami, skinieniem wskazując Rzepce, by za nią z różnemi podążyła rzeczami. Dziecina drogą strudzona potrzebowała wypocząć, a Hanna sama, lubo ją zawsze rzeczy kraj obchodzące żywo zajmowały, nieraz już nasłuchawszy się opowiadań Benka o znanej wszystkim przeszłości, pozostała we wskazanej sobie komnacie, by wypocząć i być gotową nazajutrz, po wysłuchaniu rannej mszy i podziękowaniu Wielebnemu Opatowi za gościnność, puścić się do Krakowa, rozłożonego w oddali po drugiej stronie Wisły.

Następny dzień cały podróżni nasi, zajechawszy do zwykłej swojej gospody w stolicy, spędzili cicho i spokojnie, poświęcając czas modlitwie i zebraniu myśli; ojciec z synem wychodzili po kilka razy pokłonić się niektórym znajomym duchownym i kilku starszych mężów powitać. Był to Wielki Wtorek; zwykle z okolicy, kto u siebie lub w blizkiem sąsiedztwie kapłana nie miał, pospieszał w te dni do stolicy, by religijnego obowiązku dopełnić, znalazło się więc i sąsiadów i dalszych przyjaciół nie mało. Jaśko podrastał i ojcu miło było pochwalić się chłopakiem, więc i znaczna część dnia na tych odwiedzinach spłynęła. Za powrotem do domu Pietrasz opowiedział żonie naprzód to, co ją najżywiej obchodziło, że nazajutrz rankiem w kościele na Skałce wszyscy troje znajdą w konfesyonale tylko co przybyłego z dalekich krajów, słynnego z pobożności i wymowy, niedawno proboszcza w Zembocinie, Stanisława ze Szczepanowa. Ucieszyła się tem Hanna niepomału, bo rodzice jej mieszkali niedaleko Szczepanowa i w przyjaznych żyli stosunkach z ich dziedzicami, Wielisławem i Bogną, których całe życie świątobliwości wyłącznie było oddane. Nietylko mienie swoje na budowanie kościołów i inne dla nich dary poświęcili, ale i jedynego syna na służbę Boga oddając, wyrzekli się jego widoku, najprzód do Poznania wysełając, a następnie zgadzając się na wyjazd jego do Paryża.

Nad wieczorem odwiedził ich jeszcze Benko z Grądów; bawił się z Małgosią, bo dzieci bardzo lubił i gawędził z Pietraszem, a Jaśko od czasu do czasu z alkierzyka od matki wybiegając, w milczeniu a ciekawie się przysłuchiwał.

— Nie wiem, czy się jutro gdzie spotkamy mówił stary Gręda — bo i ja rankiem do kościoła, na Wawel, bo do króla nie ma po co, on tam pamiętny lat przypędzonych w klasztorach odbywa pewnie duchowne ćwiczenia; kazał zapowiedzieć, że dopiero we czwartek przyjmować będzie.

— Dla nas to się i dobrze zdarza — rzekł Pietrasz — rano z kościoła na zamek, a potem prosto do domu, to i staniemy przed nocą.

— A widzi mi się — mówił Benko — że coś ciekawego zobaczymy albo usłyszymy, bo mi mówiono, że tu przed miesiącem byli z Francyi goście, jeden z Kluniaku z jakiemiś pobożnemi pieśniami a drugi królewski jakiś dworzanin, co przybył razem ze Stankiem ze Szczepanowa.

*　　*
*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

Poczem wyszedł z pokoju. Schodząc z nim po krętych schodach wójt zamkowy, rzekł: "Jakże sokolarzu! nie stałoż się tak, jakem mówił?"

"Zapewno!" odpowiedział Oton. "Lecz kiedy sobie rycerz z obcymi tak surowo postępuje, cóż to dopiero muszą cierpieć więźnie jego."

"Tych on," odrzekł wójt, "ledwie raz w rok widzi. Unika on tego wszelkim sposobem, gdyż po ciemnicach wielu niewinnych jęczy, a sumienie go za to oskarża. Ja jestem dozorcą nad nimi, lubo, Bóg wie dla czego, bardzo miękkie mam serce; lecz daleko miększe mają nasze Panie!"

"Hm, jak to," zapytał sokolarz.

"Kiedy rycerza nie ma w domu," odrzekł wójt, "to jest kiedy na łupieztwo wyjedzie, tak że czasem dopiero za kilka tygodni powróci, wtedy udaje się pani rycerzowa wraz z córką do wszystkich więzień, w których nieszczęśliwi rycerze i hrabiowie niewinnie cierpią. Takie odwiedziny stają się dla biednych prawdziwem niebem. Dostają bowiem zaraz lepsze, silne potrawy, szklanicę reńskiego wina, miękką pościel i czystą bieliznę. Wtedy spadają także kajdany z ich członków. Nie dość tysiąc razy płakała już szlachetna rycerzowa nad nieszczęśliwymi więźniami, mówiąc: "Ach, wójcie! gdybyśmy już raz zmienić mogli los takich nieboraków." Ja jej zaś na to zawsze odpowiadam: "Tylko cierpliwie, szlachetna pani! wszystko się to da zrobić z czasem. Życie daję, iż się tu zjawi sokół, który i przez mury widzieć będzie w stanie."

"A jestże wielu więźniów w tym zam[illegible]" zapytał go znowu Oton.

"Ile dni w trzeciej części roku przestępnego," odpowiedział wójt.

"Ach, ci nieszczęśliwi!" westchnął Oton. "A długoż jeszcze muszą jęczeć w okropnych ciemnicach?"

"Dopóki ich śmierć nie wybawi " odpowiedział wójt. "Naumyślnie nie chce ich wypuścić rycerz na wolność, gdyż się obawia, aby z wielką siłą nie przyciągnęli i nie pomścili się na nim. Jest tam także pewien hrabia, który już dziewiąty rok w sklepie uwięziony. Jak tu go rycerz przywiózł był wtedy pięknym i silnym mężczyzną; teraz zaś jest wychudły i blady. Lecz jest w tem może większą przyczyną wewnętrzne strapienie. Dniem i nocą płacze i wzdycha. Ani razu go jeszcze nie zastałem niepopłakanego. Gdyby go moje panie nie pocieszały, dodając mu nadziei na lepsze czasy, Bóg wie, czyby już dawno nie był umarł"

"Niemoglibyście mi wójcie powiedzieć jak się ten hrabia nazywa?" zapytał Oton drżącym głosem.

"Nigdy mię to nie obchodziło, jak się moje więźnie nazywają," odrzekł wójt. "Czuję się nawet szczęśliwym, że tego nie wiem. Wreszcie zdaje mi się, iż się to tobie na nic nie przyda, czy ty nazwisko hrabiego wiesz czy nie. Tak a tak nie możesz mu ulżyć w jego nędzy; a chociażbyś i mógł, to i tybyś się natychmiast do jakiej dostał ciemnicy. Takiego figla nie chciałbym ja nigdy rycerzowi zrobić. Rycerz Dytrych jest przeklęcie ostry, a życie człowieka jest u niego piłką, którą, poigrawszy sobie z nią, w kąt wrzuci, gdzie jej gnić daje. O to jeszcze jego złości nie znasz. Ja mu się nigdy nie poważę i w najdrobniejszej rzeczy sprzeciwiać. Co tylko złego spłata na wszystko trzeba "dobre!" powiedzieć. Kto mu służyć musi, może o tem bardzo wiele prawić. Lecz poczekaj tylko; właśnie mi imię

hrabiego na pamięć przyszło. Już to temu półdziewięta roku, gdy rycerz późno w noc z całą zgrają z łupieztwa powrócił. Na moje powitanie przy bramie krzyknął z głośnym rzechotem: "Ciesz się, wójcie, dostaniesz dziś wielki dzban wina! Patrz, oto wiozę wreszcie najgorszego mego nieprzyjaciela. Patrz, to hrabia Waldbergen." Dostałem dzban wina, ale nie wiem, dla jakiego kata mi nie posmakowało."

"Co? hrabia Waldbergen?" powtórzył Oton drzącym głosem i zbladł jak chusta i zaczął płakać.

"Cóż to sokolarzu?" zawołał wójt, świecąc mu w twarz latarnią. "Cóż ja widzę, ty płaczesz?"

"Nie dziw się wójcie," rzekł Oton, usiłując pokryć prawdziwą przyczynę swego rozczulenia. "Zdaje mi się, że każdy mając jeszcze uczucie w łonie, nad podobnem nieszczęściem ubolewać musi."

"Masz słuszność," przerwał mu wójt. "I ja z początku płakałem. Lecz kiedy człowiek rok po roku na nędzę musi patrzeć bez wszelkiej nadziei jakiegobądź polepszenia się, wtedy się wreszcie oziębłym i zatwardziałym staje. Lecz daję moje słowo, że z tobą by się tak stało, gdybyś był w mojem miejscu."

Wśród tych rozmów przyszli na dziedziniec. Tu stanął sokolarz na chwilę i patrzył na górną część zamku. Wójt sądził, że się dziwi ogromnym skałom, służącym budynkowi za główne filary. Rzekł więc: "Nie prawdaż? Dytrych wiedział dobrze, jak się zabezpieczyć od napaści. Mury te są tak mocne, jak gdyby na wieki trwać miały."

"Nie przeczę," rzekł Oton, lecz powiedzcież mi wójcie, gdzie są ciemnice, w których się hrabia Waldbergen uwięziony znajduje?"

"Ej, ej," rzekł nagle wójt, kwasząc się, chcesz cokolwiek za wiele wiedzieć. Gdybyś sokolarzem nie był, utrzymywałbym cię za szpiega. Jak Boga kocham, nadto się wygadałem; lecz o tem nie ma się rycerz Dytrych dowiedzieć; inaczej postradałbym wkrótce mą głowę. Jest to moją szkodą, że już od młodości za wiele gadam. Gdyby nie to, byłbym już czem więcej niż wójtem zamkowym."

Przy ostatnich tych słowach ujrzeli się przed mieszkaniem wójta. Odtąd zwrócił Oton rozmowę na rzeczy małej wagi; wiedział bowiem, iż dalsze badania co do więźniów zaciekawić mogłyby wójta, tak, że na niego większąby dawał baczność. A nie znając jeszcze jego serca dokładnie, owszem utrzymując go za zdradliwego człowieka, nie chciał mu się z niczem zwierzyć i był z tego, co dotąd usłyszał, dostatecznie zadowolony. Na zakołatanie wójta do drzwi, odparła jego żona drzwi i tak weszli do izby.

"Teraz sobie możesz wypocząć zupełnie," rzekł wójt do sokolarza. "Klatkę postaw tam w kącie, a kurtkę powieś przy kominku na poręczy, aby ci wyschła. Potem usiędziesz za stołem i wypijesz przyrzeczone ci od rycerza wino. Tu masz także chleb i masło. Jedz, niech ci smakuje! — "Ty zaś Krystyno," odezwał się do swojej żony, "bież do kuchni i ugotuj dla sokolarza polewki z wina. Rycerz wprawdzie przykazał mi, abym go wodą osoloną uczęstował, lecz w podobnym razie nie jest konieczna potrzeba stosować się podług woli drugiego. Biedny ten chłopak nie miał zapewno cały dzień nic ciepłego w ustach; prócz tego nie lubię i ja gotowanej wody z solą, jak ty to dobrze wiesz."

Krystyna wyszła do kuchni a wójt został z sokolarzem w izbie. Dzieci poszły spać już od godziny. Prócz owych dwojga nie było nikogo w izbie. To było właśnie wójtowi po myśli, mógł bowiem gadać podług upodobania swego. — Pij, sokolarzu" rzekł, trącając szklanką jego szklankę, "pij! wino rozwesela serce człowieka. Dalej, na zdrowie moich szlachetnych pań w zamku! Na to musisz pić, i zdaje mi się, że to chętnie uczynisz."

Oton upił trochę tylko, wójt zaś wypróżnił szklanicę aż do ostatniej kropelki; poczem trzymając ją w ręku, prawił dalej: "Bo to te panie są bardzo dobre. Wszerz i wzdłuż słyną swoją cnotą i bogobojnością. Nawet ich nieprzyjaciel, gdyby jakiego miały, musiałby uwielbiać ich ludzkość. Jużem ja sobie często rozważał, jakim sposobem rycerz Dytrych tak dobrej żony mógł dostać. Lecz daleko bardziej muszę się dziwować, że córka ani o włos nie ustępuje

matce w dobroci. O gdybyś tylko widział pannę, kiedy się modli, albo kiedy ubogim jałmużnę daje, albo też, kiedy dzieci wieśniaków szyć i dziać pończochy uczy. Jej twarz wydaje się zawsze nadziemską. Co czyni, to czyni z całego serca. A przykrości ze strony ojca znosi z bezprzykładną cierpliwością.

"Życzę ja jej lepszego z czasem powodzenia!" rzekł Oton.

"Jest ci ona godna lepszego ojca. Nie prawdaż? Takeś chciał powiedzieć." O ja, to już pannie wręcz mówiłem. Lecz za każdą razą odwróciła się odemnie, jakbym co nie do rzeczy powiedział. Potem poszedłszy do swego pokoiku, płakała i łkała żałośnie. A gdy się jeszcze pani rycerzowa do niej przyłączyła, wtedy było płaczu bez końca. Poddani rycerze szemrzą już pokątnie na jego niesprawiedliwość, lubo im zawsze wszystkiego w obfitości dostarcza. Ja jedyny zostałem mu wierny, to jest, ja tylko jeszcze pobłażam jego niegodziwościom i jestem mu czasem do ich wykonania pomocnym, i to dla tego, żem jego wójtem, jak też, że na dalej wójtem zamkowym być pragnę. Podobam się więc rycerzowi i jestem w jego oczach człowiekiem najlepszym. Lecz skoro go w domu nie ma, zaraz się przetwarzam w wiernego sługę Wielmożnej Pani i jej córeczki. Mam wreszcie miękkie serce, doglądam pilnie więźniów, pytam się co rano z wszelką pokorą o zdrowie Wielmożnego Państwa, a ztąd jestem w oczach rycerza, rycerzowej i ich córeczki, dobrym człowiekiem, jakiego szukać w świecie.

Wśród tego opowiadania kręcił często Oton głową na znak, że mu się nie wszystko w postępowaniu wójta podobało. Ten zaś nie pojmując tej przyczyny, mówił dalej: "Największą nieprzyjemnością dla mnie jest czasem nieporozumienie między rycerzem a rycerzową, co się dla jego popędliwości dosyć często zdarza. Gdy jestem na jego stronie, gniewa się ona, a gdy z nią trzymam, muszę się jego obawiać. Lecz w takim razie umiem ja niebezpieczeństwa unikać. Wtedy bowiem daję się jak tylko najrzadziej widzieć w górnych pokojach i wolę tu w mej izbie siedzieć i wino popijać."

To rzekłszy, wypróżnił znowu świeżo nalaną szklanicę i to duszkiem. Po chwili wypił i trzecią. — "Ha!" wykrzyknął i uderzył w stół pięścią, że aż się wina ze szklanek ulało. "Ha! trzeba sobie przecię jaką przyjemność zrobić, bo inaczej przyjdzie człowiekowi żyć rok po roku przeklęcie smutno. Zdaje się, jakby się wszystkie uciechy na to zaprzysięgły, aby od zamku Felzenhejm stronić sześć mil na około!"

"Darujcie mi," przerwał mu sokolarz, nie mogąc dłużej milczeć, "darujcie mi mą śmiałość; lecz wyście sami tego przyczyną, może jeszcze większą niż rycerz Dytrych. Gdybyście się tej i owej stronie podobać nie chcieli, ale zawsze tak trzymali z tak dobremi paniami, wtedyby się wreszcie i jego niesprawiedliwości skończyły. Za waszym przykładem stosowaliby się poddani, ubiegając się o wierność i uszanowanie dla rycerzowej, a takim sposobem nie miałby rycerz nikogo za sobą. Gdyby przecię nie chciał poprzestać łupieztwa swego, naprowadziliby go inni rycerze uczciwi na lepszą drogę, odpędzając go wcale niełagodnie do domu. Toby zaś było dla dobrej rycerzowej najlepszą sposobnością zaszczepienia w nim bogobojnego umysłu i przetworzenia go w poczciwego jeszcze człowieka. A jak prawda, że moja klatka tam w kącie stoi, napełniłby się wkrótce ten zamek najwyższem weselem, największą szczęśliwością. Cała rodzina oddychałaby jednym duchem. Uszczęśliwieni tem poddani, nie myśleliby już o niczem innem, jak tylko o uszanowaniu i miłości względem swojego państwa. Niespodzianie otworzyłyby się razem wszystkie więzienia niewinnie cierpiących. Takim sposobem odzyskałby hrabia Waldbergen wolność utraconą. Nie byłożby tak dobrze, wójcie?"

"A żeby cię kaci porwali!" krzyknął wójt z zaiskrzonemi oczyma, mając już za wiele w głowie. "Szczęście twoje, żem właśnie w dobrym humorze i że ta szklanica przedemną stoi. Inaczej nie uszedłbyś kary za zbyt śmiałe twe słowa z któremyś to i przed rycerzem tak zuchwale wyjechał; lecz teraz milcz, żona moja nadchodzi. O! ona mię niemiłosiernie łaje, skoro dostrzeże, żem za rycerzem."

Właśnie też weszła wójtowa z polewką,

która sokolarzowi wybornie smakowała. Spojrzawszy na męża, radziła mu aby się udał na spoczynek; poznała bowiem po nim, że się cokolwiek za wiele napił. Gdy znowu wyszła do kuchni dla skończenia tam czegoś, rzekł Oton: "Zaiste, wójcie wy macie dzielną żonę."

"Zapewne," odrzekł wójt. "Jestci, widzę po myśli. Tchnieć ona też tym samym duchem, co i moje panie, które to cię zaraz przy pierwszem widzeniu dla siebie zjednały. Szkoda tylko, że za mało roztropna. Wymyśla bowiem czasem całe kilka godzin na rycerza. A to mnie jeszcze służby może pozbawić."

Gdy znowu wójtowa weszła do izby, zwróciła się mowa na inne rzeczy. Usiadłszy bowiem wójtowa przy kominku, zapytała sokolarza: "Jakże was przyjęto w zamku?"

"Jak się zwyczajnie sokolarza przyjmuje", odpowiedział Oton. "Rycerz okazał się nieco surowym, za to były panie temu łaskawsze. Gdym im piosnkę zaśpiewał, poczęły płakać."

"Prawda, szczera prawda," odezwał się wójt. "Lecz jak noszę imię świętego Andrzeja, skończyłbyś był niezawodnie młode swoje życie, gdybyś był jeden jeszcze wierszyk dalej śpiewał. O! nie siedziałbyś tu teraz tak wesoło przy stole. W ciągu całej piosnki zatopił rycerz w tobie swe oko, gdyby sęp jaki. Aby cię od dalszego oderwać śpiewania, wypuściłem naumyślnie jednego sokoła z klatki."

Takim sposobem toczyła się mowa jeszcze pół godziny. Wójt zaś mało się kiedy odzywał. Leżąc twarzą na rękach, rozłożonych na stole, bąknął tylko czasem w drzymaniu jaką odpowiedź, albo jakie pytanie. I wójtowa zaczęła drzemać, kiwając się na stołku na wszystkie strony. Wybiła też już jedenasta godzina na zamkowym zegarze. Sokolarz więc udawał, jakby mu się także już spać chciało, lubo sen był daleki od niego.

Wreszcie przecię wstał wójt na równe nogi i poszedł, taczając się, do lampy, aby przy niej świecę zapalić. "Pójdź, sokolarzu!" rzekł, chcąc przodkiem iść. "Poprowadzę cię na pęk słomy, jak mi to rycerz sam kazał. Tam w stodole możesz sobie spać, aż jutrzenka przez szczerby starych wrót zaświeci."

"Fe! wstydź się," rzekła wójtowa "Chceszże we wszystkiem nielitościwe rozkazy rycerza wykonywać? Jest to aż nazbyt widocznie, iżeś się napił nad miarę. Gdybym wiedziała, że jutro otrzeźwiawszy inaczej mówić nie będziesz, nigdybym w życiu na ciebie nie była dobrą. Sokolarz będzie spał w izbie; jest ci tu cieplej niż w stodole. Jużem ja tam na ławie rozpostarła dla niego parę kobierców. Będzie mu na nich przecie miękciej, niż na słomie. Ty zaś bież spać a wstań jutro rozsądniejszym. Słyszałeś?"

Rozśmiawszy się na to wójt, zatoczył się do sypialnego alkierza, bełkocąc jeszcze do sokolarza: "A niech cię tam pioruny biją." Ale sokolarz na to nie zważając, zwrócił się do wójtowej z temi słowy. "Dziękuję wam serdecznie za smaczne pożywienie, i za nocleg, który mi dacie. Niech wam to Bóg najwyższy zapłaci. Teraz życzę wam dobrej nocy. Tu wyszła z miłym uśmiechem z izby wójtowa.

Widząc się Oton tylko sam w izbie oddał się zupełnie uczuciom swego synowskiego serca. Padłszy na kolana, modlił się bezprzestannie do Boga o uskutecznienie najgorętszego swego życzenia, to jest, aby się mógł z ojcem swoim kochanym zobaczyć, albo mu przynajmniej dać poznać swoje zamiary, a potem go uwolnić z więzienia. Tak przepędził całą godzinę. Wreszcie wybiła dwunasta na zegarze.

Tymczasem wypogodziło się. Nocne niebo nie było ani jedną chmurką pokryte. Śliczne gwiazdy, tak nazwanego woźnicy, świeciły drżącym promykiem przez żelazne kraty do mieszkania burgrabiego i to właśnie na owe kobierce, na których miał spoczywać sokolarz.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Panie rycerzu! doprawdy, to dzielny sokół.

Już zaraz z rana zaczęły psy gończe szczekać na podwórzu zamkowem. Krzyk

rycerskich sług odbijał się aż w izbie wójta, tak, że sokolarza przebudził. Ten się też zerwał czemprędzej, wdział na siebie kurtkę, wziął z klatki sokoła, który się wczoraj wieczorem podobał rycerzowi, poszedł z ptakiem na ramieniu do bramy i oczekiwał tam na nadjechać mającego rycerza. Przy okazaniu się tegoż, skłonił się Oton głęboko i życzył mu dnia dobrego. Potem puścił sokoła na grzywę rumaka, na którym już siedział. A dając powrózek, na którym był sokół uwiązany Dytrychowi w rękę i rzekł: "Panie Rycerzu! doprawdy, to dzielny sokół." Na te słowa zmilił Dytrych cokolwiek ponurą jak zwykle i kwaśną twarz. Potem zakrzyknął: "Zobaczemy!" i spiąwszy konia ostrogami, ruszył z miejsca.

Teraz ozwały się rogi myśliwskie a rycerz odjechał z swymi ludźmi. Sokolarz został, stojąc przy bramie i śpiewał za nimi: "Dobrych łowów, dobrych łowów! Jedźcie z Panem Bogiem!" Gdy odjeżdżający już daleko byli wreszcie przestał grać na mandolinie. Jednak stojał jeszcze długo u bramy, patrząc ciągle za rycerzem. "Ty," rzekł wreszcie, "jesteś wolny, a mój ojciec nim nie jest, a tyś go uwięził."

"Nuże sokolarzu!" krzyknął w tejże chwili za nim głos jakiś, po którym on zaraz poznał wójta. "Tak albo tak! Chceszże wejść na dziedziniec czy nie. Lecz ruszaj z proga, bo widzisz, że bramę zamykam. Ha! ty znowu płaczesz? Cóż z ciebie za dziwny chłopak! Czyż ci rycerz jakim słowem przyciął? Może dla tego płaczesz, żeś się ze swym sokołem musiał rozłączyć? W pierwszym razie uspokój się tem, gdy ci powiem, że mnie nieraz nawet po biodrach wyszturchał; w drugim zaś razie, masz przecie jeszcze więcej sokołów w klatce. Lecz tak czy tak, muszę ci powiedzieć, żebym dawno w grobie leżał, gdybym był tak czuły jak ty."

To mówiąc, zamknął wójt bramę. Poczem poszli obaj do izby. "Siadaj do śniadania," rzekł wójt. "Ale i o swoich szkołach nie zapomnij. Ja tymczasem pójdę do ciemnic i dam więźniom także co do zjedzenia." A zdjąwszy pęk kluczy z gwoździa, wyszedł z halabardą w ręku na dwór. Posępność jego twarzy i zmarszczone czoło okazywały dokładnie, jak przykrym mu był urząd nad więźniami. Ach! jakżeby chętnie był Oton z nim pobiegł, aby swego ojca zobaczyć. Jakżeby miło było dla niego, gdyby przynajmniej mógł wiedzieć, gdzie cierpi ten, którego tak bardzo kochał chciał pośpieszyć za wójtem z prośbą, aby go wziął ze sobą, lecz w tejże chwili przypomniała mu się rozmowa wczorajszego wieczora, w której przez swoje pytania niemal za wielką na siebie zwrócił uwagę. Został więc w izbie mówiąc sam do siebie: "Przez nierozsądne, niewczesne sobie postąpienie, wtrąciłbym ojca mego i siebie napróżno w większą nędzę. Teraz muszę jeszcze synowskie moje uczucia i tę gorącą chęć widzenia się z nim jak najprędzej, ile możności pokrywać. Wójt, a tem mniej rycerz nie musi wiedzieć, żem syn hrabiego Waldbergen. Może się też dzisiaj zdarzy jaka sposobność, że będę mógł więcej pomówić tak z wójtową, jako toż paniami zamku."

Tymczasem, gdy wójt więźniów odwiedzał, a żona jego gospodarstwem zatrudniona była, rozmawiał Oton z dziećmi, wypytując się jednego po drugiem, jakieby każde z nich imię miało. Najmniejsze posadził sobie nawet na łono i bujał je na nogach. Potem pokazał wszystkim sokoły, których wczoraj przy ogniu kominka dokładnie widzieć nie mogli. Darował im także kilka zabawek które dla rycerskich dziatek nosił w kieszeni. Takim sposobem stawali się coraz śmielszemi. Jednym podobało się pióro przy bereciku, drudzy chwytali go za jasne jego włosy, prosząc go, aby im je darował. Najstarszemu zaś nie podobało się nic tak bardzo, jak młody sokół siedzący w klatce zupełnie u wierzchu.

"Skoro ojciec wróci," rzekł, "poproszę go, aby mi kupił tego ptaka. Ja go sobie ułaskawię i wyuczę, że mi będzie posłusznym, jak wyżeł jaki. Co dzień musi wróbla schwytać. Nie prawdaż sokolarzu?"

Oton musiał powiedzieć: prawda! inaczej krzyczałby chłopiec jeszcze ze sto razy: "Nie prawdaż, sokolarzu?" — Na łonie Otona ciągle ktoś siedział; chociaż jedno dziecko zlazło, to inne zaraz na to miejsce przyszło. Wreszcie tak był znużonym, jak gdyby cały dzień na sokoły polował.

Lecz wójtowa wybawiła go od tej męki. Wróciwszy bowiem do izby, zganiła im ich postępowanie, mówiąc z łagodnością, iż to wcale niegrzecznie, że tak gościa utrudzają. Zdarzyło się, iż i wójt tejże chwili wszedł do izby. On je także skarcił, lecz w inny zupełnie sposób. “Cóż to znaczy, wy małe bachory?” krzyknął na nie. “Czyż chcecie sobie i po gościu tak brykać, jak to zwykle po mnie. Zaraz mi do kąta abym was do tej tu klatki nie wrzucił. O, źleby wam się powiodło, bo za pół godziny nie zostawiłyby sokoły ani włoska po was.”

Te słowa przestraszyły dzieci tak, że z dziesięć kroków od klatki stanęły. Najstarszy chłopiec nie chciał już ani napomknąć o kupieniu sokoła. Oton zaś chciał dzieci przed rodzicami uniewinnić, mówiąc: “Gdybym tak tym malcom sam nie dał do tego powodu, nie spoufaliłyby się tak łatwo do mnie. Ale ja lubię dzieci, jak własne swoje życie, skoro tylko dobre serce mają.”

Ale w izbie wójta zrobiło się dla sokolarza za ciasno. Jego z nim rozmowa o mniej ważnych rzeczach uprzykrzyła mu się wreszcie; a mówić w tejże treści jak wczoraj nie wypadało, gdyżby przez to swe zamiary zdradził. Usiłował on często, aby sam na sam z wójtową pomówić. Spodziewał się bowiem od niej co więcej usłyszeć; lecz mu się wcale udać nie chciało, z powodu ciągłej obecności wójta. Wyszedł więc na podwórze i spoglądał bez przestanku w okna, czy mu się też jedna z pań zamkowych nie pokaże. Ale mimo natężenia wzroku nie ujrzał nikogo, prócz kilku ludzi wodę noszących i psa na łańcuchu leżącego. Przyszedłszy znowu do izby, ośmielił się nawet zapytać, czyby paniom przyjemnie być mogło, gdyby im dał swoje uszanowanie a potem na mandolinie piękną piosnkę przygrywając, czas uprzyjemniał. Wójt potrzebował tylko iść na zamek i im o tem oznajmić, ale zamiast tego, powiedział tenże: “Twoje wczorajsze postępowanie zamknęło ci wrota do nich. Piosnka bowiem twoja wznieciła w rycerzu takie podejrzenie, iż nam jak najsurowiej przykazał, aby rozmowy między jego żoną lub córką a tobą, nie dopuścić. Dla tego on też obie w jednym zamknął pokoju, gdzie aż do jego powrotu muszą siedzieć cierpliwie.”

Ta wiadomość zasmuciła sokolarza, tak że mu i obiad nie smakował. Milcząc, siedział sobie ciągle w kącie i bawił się tylko ze swemi sokołami. Po stole rozciągał się wójt na kobiercu, chcąc, jak zwykle, przespać swoje dwie godziny. Oprócz dwóch tych osób nie było nikogo więcej w izbie. Wójtowa bowiem poszła po uskromieniu swego gospodarstwa, do poblizkiej wsi z odwiedzinami. Siedział więc Oton cały czas samotnie, modląc się do Boga o wyswobodzenie kochanego ojca.

Wreszcie poruszył się wójt i leżąc jeszcze na kobiercu, przecierał sobie oczy. Pierwsze jego wejrzenie było na sokolarza. Na szczęście udawał Oton śpiącego. Wychudły bowiem wójt wstał, wziął czapkę jako też i kluczyk, osobno na gwoździu wiszący i rzekł sam do siebie: “Dobrze, że śpi. Wszystkie bramy są zamknięte: będę więc mógł iść do ulubionej mi karczmy pod borem.” To rzekłszy, wyszedł z izby. Oton zaś uklęknąwszy, zaczął się modlić: “O Boże najdobrotliwszy, niechże też ta upragniona sposobność będzie dla mnie z pożytkiem. O sprzyjaj memu przedsięwzięciu!” Poczem wstawszy, wziął sokoła, z którym dotychczas ustawicznie się bawił, posadził go sobie na ramię i wyszedł za wójtem, trzymając się ciągle w pewnej od niego odległości. Wązka, mało co wydeptana a gęstą krzewiną zarosła ścieszka, prowadziła między dwoma murami na około zamku. Wreszcie stanął wójt, otworzył kluczykiem małą, żelazną furtkę i przecisnął się przez nią. Widział to Oton, stojąc w niejakiej odległości. A gdy sobie mógł wnosić‘ że ów już u podnóża pagórka, wtedy przyskoczył do owych drzwiczek, tylko przymkniętych. Mało myśląc, przeszedł przez próg i ujrzał się za obrębem zamkowym. Przy skalistym wzgórzu stały tu i owdzie odwieczne dęby i sosny, a zupełnie w dole toczyła się rzeka Ren, która na tym brzegu krzewem i tatarakiem cokolwiek zasłoniona była. Ten widok był dla niego nowym i zadziwiającym; bo gdy był w nocy u bramy grodu stanął, wtedy nic widzieć nie mógł dla słoty. Patrząc na zewnętrzną część zamku, dostrzegł wielkie mnóstwo owych otworów w skale,

przez które się światło dniowe tylko słabo do więzień wdzierało. Przez te otwory trzepotały się za nadejściem zmroku nietoperze, sowy i inne brzydkie ptaki, wlatując do ciemnic lub wylatując z nich, a krocie wróbli gnieździło się tamże. "Ach!" westchnął Oton, "w jednym z owych komórek jęczy mój drogi ojciec."

Westchnął i poszedł dalej dla zobaczenia całej zewnętrznej części zamku. "Miły Boże!" rzekł znowu, "ach! nie mogę tam bez wylewania łez dziecinnej tęsknoty za najukochańszym mym ojcem. Jakżebym rad cierpiał za niego. O mój ojcze! Tyś zamknięty tam w jednej z owych górnych komórek. O gdybym też jeszcze raz mógł ujrzeć twe oblicze! Tak, tak! natychmiast bym cię poznał. O gdybym cię mógł uściskać za kolana, prosząc o ojcowskie błogosławieństwo! Jest to okropna dla mnie męka, będąc tak blizko twego więzienia a przecię nie być w stanie oswobodzenia ciebie. Gdybym też choć tylko jednego znał człowieka, któryby mi radą i uczynkiem mógł być pomocny!"

Tu zawołał ktoś z tyłu na niego: "Ejże przyjacielu! strzeżcie się, aby was kto z zamku nie zobaczył. Zapatrzenie się na więzienia, mogłoby was o życie przyprawić." Zląkł się Oton na te słowa; lecz obejrzawszy się, ochłonął cokolwiek ze strachu. Na odziemku bowiem powalonego dębu, ujrzał człowieka pokrzepiającego się wraz ze synem swoim po rąbaniu drewek, kawałkiem chleba i dzbankiem wody. "Pójdźcie lepiej tutaj na ten pieniek i wypocznijcie sobie; jeźli chcecie, damy wam kawałek chleba, założę się, że wam lepiej będzie smakował, jak tam w zamku doprawna pieczeń."

"Ach," rzekł Oton, przybliżając się zwolna do nieznajomego, "nigdy nic mi nie smakuje, nigdym nic na żadnem miejscu."

"W taki sposób muszę się nad tobą żalić," rzekł robotnik. "Jestem ja tylko biednym chłopem, przecie mam zawsze myśl wesołą, a ta licha strawa, na którą sobie w pocie czoła zarobić muszę, smakuje mi lepiej, niż rycerzowi najwyborniejsze potrawy. Jestem sobie zdrów i mam dobre sumienie, a to jest osłodę żywota. Czyż ty inaczej myślisz?"

To wyrzekłszy spojrzał sokolarzowi w oblicze. "Co?" zawołał zdziwiony i wstał z odziemku, "ja was mam znać. Albożbym się mógł mylić. Nie, nie. Toście wy sami, wy sami!" — To zatrwożyło sokolarza jeszcze bardziej, niż się był zaląkł pierwej. Rupert zaś, tak się bowiem nazywał ów człowiek rąbiący drewka, schwycił go za rękę i rzekł: "Czyż sobie nie przypominasz owego zdarzenia w boru, gdzieś to biednemu młodzieńcowi bez siły zwątlone nogi opatrzył, głód jego zaspokoił, a potem jego samego na taczkach do pobliskiej wioski powiózł? Tym młodzieńcem byłem ja. Boguż więc dzięki, żem znalazł mojego dobroczyńcę. Co rano i co wieczór modliłem się za was."

Niespodziewana radość Otona z powodu nadzwyczajnego spotkania się z owym człowiekiem, nie da się wcale opisać. "Tak zaiste," przemówił wreszcie, "im więcej się wam przypatruję, tem wyraźniej przypominają mi się rysy waszej twarzy. Ale powiedzcie mi jak wam się dotąd powodziło?"

"Usiądźcie tylko," rzekł Rupert, "a wszystkiego się dowiecie. Przez dwa dni bawiłem w chacie owego wieśniaka, do któregoście mnie to byli zawieźli. Potem zaś ruszyłem w drogę, aby się gdzie do jakiego pana w służbę dostać. Długi czas biegałem napróżno po kraju; wreszcie stanąłem w tej okolicy. Był to właśnie wielki upał a straszne pragnienie dokuczało mi. Poszedłem więc do owej chaty pod borem, która teraz do mnie należy, i prosiłem serdecznie o trochę świeżej wody i kawałek grubego chleba. Sędziwy poczciwiec, któremu Kruno na imię było, wysłuchał mię z radością. Gdym mu na jego pytanie, jak się nazywam i jaki jest zamiar mojej podróży, odpowiedział, opisując z płaczem całe moje nieszczęście, rzekł do mnie: "Zdaje się, żeś poczciwy człowiek. Jeźli chcesz, zostań u mnie. Jestem ja porębaczem w borach rycerza, od dawnego zaś czasu nie mogę już dla starości tak ciężko pracować. Ty jesteś krzepkiem chłopakiem; przedstawię cię więc pani rycerzowej, która już bardzo wiele dobrego dla mnie i dla mojej Tekli czyniła. Na wstawienie się jej za tobą u swego małżonka, dostaniesz niezawodnie jego miejsce."

"Tak się też stało w samej rzeczy. Co

dzień zarobiłem tyle, żeśmy wszyscy trejo żyć mogli. Przytem wspierała nas jeszcze pani rycerzowa wraz z córeczką swoją, lubo tylko pokryjomu. Onać też sprawiła, żem się ożenił z pracowitą. poczciwą Teklą. Lecz niestety! wkrótce po moim ślubie umarł dobry, sędziwy Kruno. Przed zgonem wyrzekł jeszcze te słowa: "Jakże dziękuję Bogu za umieszczenie Tekli. Teraz mogę wesół umierać. O! żyjcie z sobą zawsze w zgodzie i nie przestajcie ufać Bogu najdobrotliwszemu. Długośmy ubolewali nad taką stratą; wreszcie pobłogosławił nam Ojciec Niebieski tym tu Grzesiem, który sędziwemu Krunemu zupełnie podobny."

"Żyliśmy więc aż do dnia dzisiejszego w zgodzie najprzykładniejszej. Żadnego więcej nie miałem życzenia, jak tylko, abym jeszcze kiedy mego dobrodzieja mógł ujrzeć i mu za wielką jego dobroć szczerze podziękować. Jakże więc jestem szczęśliwy, że mi się moje życzenie spełniło. Częstom ja Tekli powiadał, że litość jakiegoś dobrego chłopca, który mnie w boru od śmierci ocalił, pierwszą przyczyną mojego i jej szczęścia się stała. Lecz proszę mi teraz powiedzieć, co was spowodowało do zwiedzenia tej okolicy."

"Wam," rzekł Oton, "przecie się mogę zwierzyć. Spojrzyjcie tylko do góry. W jednym z owych komórek w skale jęczy niewinnie osoba, która mi droższa od największego przyjaciela. Przybyłem ja tu jako sokolarz w tej myśli, aby pomyślniej jakiej sposobności do oswobodzenia go użyć. Lecz niestety Dotąd nawet nie wiem jeszcze, w którym z owych więzień on jęczy."

W ciągu tej rozmowy przypatrywał się Grześ ciągle sokolarzowi, okazując przy każdem poruszeniu tegoż radość niewymowną.

"Podoba ci się ten ptak? zapytał go sokolarz, sadzając sobie sokoła na palec. "Czekaj tylko cokolwiek, a ujrzysz prawdziwe dziwy. Gwoli ciebie puszczę go w powietrze. Tam u góry przy otworach w skale latają wróble i inne ptaki. Ledwie pomyślisz, a już ci jednego z nich przyniesie."

Co tylko rzekł puścił sokoła, dając mu powrózkiem pewny znak dokąd miał lecieć, natychmiast upatrzył sobie sokół wróbla i zaczął go gonić. Tenże wydając głos przeraźliwy, uciekał ile możności. Sokół zaś ciągle za nim. Już co go tylko otwartym dziobem miał schwytać, aż tu biedny wróbel do najbliższego otworu wleciał. Ale i tu go jeszcze sokół ścigał. Wszyscy trzej na dole byli ciekawi, co się ze sokołem jako też i wróblem stanie. Długo sokół się nie pokazywał; wreszcie przecie ujrzeli go przy otworze. Sokolarz ruszył powrózkiem a ptak spuścił się na dół.

"Patrzcie tylko, patrzcie!" zawołał Grześ, "oto ma coś w dzióbie. Doprawdy, to wróbel!"

Rupert i Oton także tak myśleli, lecz za zbliżeniem się sokoła, gdy wreszcie swemu panu siadł na ramieniu, przekonano się, że to nie był wróbla przyniósł, ale krajobrazek zamku Waldbergen, który Teodora dla swego małżonka na urodziny była wyhaftowała. Oton poznał natychmiast tę robótkę i nie mógł się wcale nacieszyć. Padł na kolana i podziękował Bogu za to zdarzenie. Potem ucałował swego sokoła i głaskał go po piórach. "Dobry, kochany mój ptaku," rzekł do niego, "tyś mi pobyt mego ojca odkrył. Odtąd też za to jeszcze troskliwiej będę o tobie pamiętał."

Radość tę sokolarza podzielał Rupert jak najżywiej! jednakowoż klepiąc go po ramieniu, rzekł: "Dobry młodzieńcze, wtedy się dopiero pocieszny prawdziwie, gdy twego ojca uwolnimy."

Te słowa przemieniły radość sokolarza w zadumanie i smutek. "Ach tak, przyjacielu," rzekł, "macie słuszność, w pierwszej chwili mojej rozkoszy ani o tem nie pomyślałem; lecz cóż my dla niego możemy uczynić?"

Tu zaczęli myśleć tak i owak, układając sobie różne plany, ale każdy odrzucić musieli. Nagle zawołał Rupert: "Czekaj tylko tak! to dobrze."

Sokolarz go więc prędko zapytał: "Cóż takiego?" Ale tymczasem stanął Rupert już nad brzegiem i odwięzywał powróz od łodzi, na której drzewo na drugą stronę Renu przewoził. Wkrótce zaś wrócił nazad. Teraz dopiero domyślił się Oton jego zamiaru. Pełen radości uściskał go za myśl tak szczęśliwą. Wyjąwszy potem z kurtki

ołówek, który zawsze przy sobie nosił, jako też i kartkę pargaminn, napisał następujące słowa: "Tu na brzegu Renu czeka wybawca od Boga przysłany. Skoro na zamku uderzy siódma godzina, przywiąż tę linę tam u góry i spuść się po niej, a będziesz wolnym Na znak zaś, żeś hrabia Waldbergen zawieś na szyję oddawcy tego pisma ów złoty łańcuch, któryś to na turniejach w nagrodę odebrał. Jakeś mąż bogobojny, dostanie się ten łańcuch w dobre ręce.

Liścik ten przywiązał sokołowi do prawej nogi a linę okręcił mu około szyi, i tak puścił do góry. Bez danego nawet znaku poleciał sokół tąż samą drogą, co pierwej; jak gdyby chciał ściganego wróbla wyszukać, wsmuknął się znowu do tego samego otworu. Tymczasem, gdy sokół w więzieniu bawił, klęczał Oton przy powalonym dębie i modlił się po cichu. Gdy po chwili do góry spojrzał, dojrzał sokoła na murze siedzącego. Zobaczywszy swego pana, zestrzelił ptak jak strzała znowu na dół, nie mając już żadnej liny około szyi, lecz za to śliczny, złoty łańcuch. Ten klejnot odebrał mu Oton i przycisnął go gorąco do ust swoich; poczem rzekł do Ruperta: "Z tym znakiem udam ja się niezwłocznie na dwór cesarski. Będzie on najoczywistszym świadectwem do słów, przezemnie za niewinność hrabiego wyrzeczonych. Wasz chłopiec pokaże mi najbliższą przez bór drogę. Wy zaś przewieziecie ocalonego więźnia jeszcze tej nocy na drugą stronę Renu Jestem pewny, że to uczynicie z radością. Za to, żem wam się kiedyś tam w boru przysłużył, możecie mi się teraz, co już często waszem życzeniem było znowu, odsłużyć."

Z miłym uśmiechem wziął Rupert jego prawicę w obie ręce i rzekł: "Żądajcie jeszcze tysiąc razy więcej, a wszystko uczynię jak najchętniej A jednak nic tak wielkiego żądać nie możecie, coby moje przez was szczęście przewyższyć było w stanie; lecz muszę wprzód do chaty pospieszyć i o tem swą żonę uwiadomić, inaczejby jutra nie dożyła, nie wiedząc ani o mnie, ani o Grzesiu, gdzieśmy się podziać mogli.

Tymczasem, gdy Rupert ze swym synem do domu biegli, zaczął się Oton koło łodzi krzątać, aby do rychłego odjazdu była zupełnie gotowa. Po zachodzie słońca wrócili obaj, ojciec i syn. Grześ przyniósł z sobą dla sokolarza zawiniątko z żywnością na tak daleką drogę. A że już zorze gasły, przystąpili więc wszyscy do ściany zamkowej, właśnie pod ów otwór, który z więzienia hrabiego wychodził. Każdemu z nich biło serce gwałtownie i drżały ręce, częścią z obawy, aby kto w zamku ich zamiarów nie poznał i nie zniweczył, częścią z radosnej nadziei, że im się uda wolność przywrócić. Milcząc słuchali na każdą ćwierć godziny, która na zegarze zamkowym bić miała. Nic sobie bardziej nie życzyli, jak wyznaczonej godziny. Dął właśnie wiatr nie lichy. Szeleszcząc gałęziami rozwijającemi się w liście, przestraszył ich nie raz dość srogo. Przecię nie stracił sokolarz odwagi. "Mamy Boga przy naszej sprawie!" rzekł i spojrzał ufnem okiem na gwiazdę wieczorną, przyświecającą już na niebie zachodniem.

Wreszcie wybiła siódma na wieży. Właśnie też spuściła się lina. Można ją było sięgnąć od dołu. Przy ostatnim blasku zmierzchowym dała się u góry w otworze widzieć postać człowieka, która się po umocowanej linie spuszczać zaczęła. Oton stał zupełnie przy tejże, aby owej osobie przy osiąganiu ziemi dopomódz. Jakież uczucia napełniały jego łono, gdy z rysów twarzy, od dzieciństwa głęboko w sercu wyrytych, ojca swojego poznał. Na miejscu, gdzie hrabia ziemię najpierw nogami dotknął, rzucił się tenże na kolana i zawołał: "O Boże wszechmogący, oto moje dziękczynienie!" Zwróciwszy się potem do sokolarza, rzekł: "Czyż w tobie, szlachetny młodzieńcze widzę mego wybawcę? Moje serce każe mi w tej chwili ciebie uściskać, jak własnego syna Lecz proszę, powiedz mi, jakim sposobem byłeś w stanie wśród tyle więzień to właśnie odkryć, w którem ja jęczałem?" —

Oton zaś podając mu krajobrazek zamku Waldbergen, rzekł drżącym z radości głosem: "Ten obraz, który mi mój sokół przyniósł, pokazał mi drogę do miejsca waszych cierpień."

"Czyż podobna?" zawołał hrabia dziwując się. "Jakże mogłeś wiedzieć, że to haftowanie do mnie należy? Od kogoż się do-

wiedziałeś o tym złotym łańcuchu, że go ciągle od czasu otrzymania — na piersiach noszę?"

"Od waszego syna," szepnął Oton z rozczuleniem i pełen tęsknoty za chwilą, w której by się wreszcie ojcu mógł dać poznać. "O Boże dobrotliwy! więc żyje jeszcze?" zawołał hrabia i przycisnął mocno rękę Otona do swojej piersi. "A ty go znasz? A matkę jego także? O proszę, zaklinam cię na owe gwiazdy, które z nieba tak mile na nas spoglądają, zaklinam cię na ciężkie moje męki, tak długi czas tam u góry w ciemnicach ponoszone, zaklinam cię na moją tęsknotę za ukochanemi, ze mną tak srogo rozłączonemi istotami, zaklinam cię wreszcie na wszystkie modlitwy, które dniem i nocą o ich życie mawiałem, o powiedz mi, ktoś ty jest i jak ich znać możesz!" — Oton nic nie odpowiedział. Hrabia spojrzał mu w oczy i rzekł: "Ze ich znałeś, jest więcej jak pewna. Ale tu nie chcesz mi powiedzieć, że już nie żyją."

Tu już dłużej Oton swych uczuć pokrywać nie mógł. Łzy całą siłą zatrzymywane puściły mu się strumieniem. Sam zaś rzucił się hrabiemu do łona. Objąwszy go czule za szyję i całując go ciągle rozognionemi ustami po licach, wołał: "O Szwajcaryo! O dolino! O chatko mej matki! O gdyby to było w mojej mocy, tam, tam tę błogą chwilę przenieść. Hrabio Waldbergen! słuchaj, ja, ja jestem.." Dalszą zaś rozmowę przerwał mu blizki szelest. Tu i owdzie dały się męzkie głosy słyszeć. "O Boże," szepnął Oton prędko. "Zginęliśmy! Lecz dalej, dalej! za Ren czemprędzej. Potem do Szwajcaryi! Pytajcie się za jaskinią Beatusa. Leży ona nad Tuńskiem jeziorem. Tam czekajcie! ja tam przybędę." To rzekłszy, schwycił hrabiego za rękę i ciągnął go co prędzej ze sobą nad rzekę. Zimny pot okrył jego czoło, gdy owe męzkie głosy ciągle za nimi postępowały. Rupert pospieszył, był naprzód i miał już łódź zupełnie na pogotowiu. "Jedźcie z Bogiem!" rzekł Oton, gdy już od brzegu odbili, potem skrył się wraz z chłopcem w krzaki. Tu siedząc, zatrzymał dech w sobie, aby tylko ujść niebezpieczeństwa.

Szelest zaś zmniejszał się coraz bardziej. Tylko urywkiem dały się z pod muru pojedyńcze głosy słyszeć. Z ich stopniowego słabnienia można było poznać, że jacyś ludzie w obręb zamkowych zabudowań biegli. Przyczyną tego rozruchu był [illegible] zamkowy. Bawił on w karczmie pod borem aż się ściemniać zaczynało. Przyszedłszy do domu a nie zastawszy sokolarza, gdy się nawet o nim od żony swojej, nie mógł dowiedzieć, kazał parobkom, aby go po wszystkich kątach szukali. Lękał się bowiem rycerza, który mu go pod dozór oddał. A że sokolarza w zamku nie znaleziono, wpadł wójt na tę myśl, iż przez ową skrytą furtkę zemknął, aby rycerzowi jakiego figla spłatać. O tem się też rzeczywiście przekonał. Bardzo się przeląkł, wyszedłszy za mur zamkowy a zobaczywszy przy świetle swojej latarni, linę z komórki wywieszoną. "A do kata!" Pomyślał sobie. "Wszak to właśnie z więzienia hrabiego Waldbergen!" Zwoławszy rozproszoną nad brzegiem czeladź, aby nazad do zamku wróciła, poszedł za nią, lecz ani wspomniał o swojem spostrzeżeniu, potem udał się z pękiem kluczy, halabardą i latarnią do drzwi żelaznych więzienia, w którym hrabia był zamknięty. Stąpał on, idąc tam jak najlżej, jak najostrożniej. W ciemnicy zaś nie zastał nikogo. Potrząsł więc kilka razy głową i rzekł sam do siebie: "Teraz trzeba pomyśleć, jak się tu z tego niebezpieczeństwa wydostać. Ale przebiegły mój łeb przecię mię i teraz nie opuści." To rzekłszy, wciągnął linę do góry. Zamykając drzwi żelazne, zamyślił się cokolwiek a głaszcząc sobie kasztanowatą brodę, rzekł ze zmarszczonem czołem: "Na uczciwość, to mi był nie lada ptaszek! doprawdy to dzielny sokół."

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pierścień.

Było to około północnej godziny, kiedy Oton w krzakach zaczął Grzesia budzić. W zamku panowała zupełna cisza. "Wstań," rzekł Oton, "jużeśmy sami i nie potrzebujemy się już niczego obawiać. "Natychmiast musimy ruszyć w drogę, aby przed świtem w innej stanąć okolicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Nieznajomy.

Proszę pani o parasol.

Baronowa *(na stronie.)*

Nie dajmy upaść rozmowie (*głośno.*) Więc Pan byłeś w tej słynnej bitwie, w tej bitwie, gdzie ten waleczny jenerał...

Nieznajomy.

Bosquet?

Baronowa.

Tak jest Bosquet.

Nieznajomy.

To pani chcesz mówić o bitwie pod Almy lub Inkermannem?

Baronowa.

Tak, tak Inkermannem.

Nieznajomy.

Nie Pani, w tych świetnych bitwach nie byłem, przybyłem za późno. Proszę pani, o jaki parasol.

Baronowa *(na stronie.)*

Jakby go zatrzymać (*idzie do drzwi i woła.*) Anzelmie! (*Anzelm wchodzi.*) Panu się śpieszy, przynieś parasol (*cicho do Anzelma.*) Pamiętaj, że w całym domu nie ma parasola. (*Anzelm wychodzi.*)

Nieznajomy *(któremu Baronowa bardzo uprzejmie krzesło wskazuje.)*

Przepraszam, ale się śpieszę nadzwyczajnie, boję się chybić pociągu, którym ma przyjechać kilka znajomych mi osób, zresztą obawiam się, by moje odwiedziny zbyt panią nie znudziły, toby szyb stłuczonych nie wprawiło.

Baronowa.

Pociąg, którego pan oczekujesz dopiero za 3 godziny nadejdzie mogę Pana zapewnić. Więc Pan byłeś w Krymie?

Nieznajomy *(do siebie.)*

Znów do swego powraca, to musi być wdowa po oficerze.

Baronowa.

Nie byłeś Pan ranny?

Nieznajomy.

I owszem 2 razy, przy zakładaniu trzeciej parallelli.

Baronowa *(niby zdziwiona z radością.)*

A Pan byłeś w trzeciej parallelli?

Nieznajomy *(na stronie.)*

Co ona się tak dziwi?

Baronowa.

Tak pragnęłam spotkać kogo, któryby mnie objaśnił, co to jest parallella.

Nieznajomy.

Gdybym mógł Panią zadowolnić.

Baronowa.

Bardzo będę panu wdzięczną.

Nieznajomy.

Jestem najszczęśliwszy. Przez ten czas, w którym szukają parasola, wytłomaczę pani parallellę.

Baronowa *(dając krzesło.)*

Jaki pan uprzejmy, przecież nareszcie się dowiem, proszę usiąść.

Nieznajomy.

Bardzo miła, ale i bardzo oryginalna! (*siada.*)

Baronowa (*na stronie.*)

Wcale zabawny, byle tylko chciał usiąść. Ah, przecież siadł.

Nieznajomy (*dokładnie i dobitnie.*)

Parallella, moja pani, jest to linia, wytknięta w miejscu, zajmowanem przez oblegających, w celu posuwania się rowami lub okopami ku oblężonej fortecy.

Baronowa.

To bardzo zajmujące.

Nieznajomy.

Są to rowy kopane w 3 równoległych liniach w gryg-zag, znów z sobą połączone.

Baronowa.

Jakże to interesujące.

Nieznajomy.

Głębokość każdego rowu, jest półtora łokcia, a szerokość różna, od pół do półtora sążnia.

Baronowa.

Coraz ciekawsze.

Nieznajomy.

Jest 6 gatunków tych rowów, czyli sapów: "Sap zwyczajny, sap spodni, sap górny, sap dubeltowy, sap pół dubeltowy, sap pełny. Czy pani to pojmuje?

aronowa.

Ale pojmuję. To, co mi pan mówisz jest nader zajmujące. Więc jest 36 gatunków sapów?

Nieznajomy.

Nie Pani, tylko sześć.

Baronowa.

A tak, sześć.

Nieznajomy (*licząc na palcach.*)

Sap zwyczajny, sap spodni, sap górny, sap dubeltowy, sap półdubeltowy, sap pełny. — A teraz określimy, jakie te sapy.

Baronowa.

Bardzo dobrze, określimy je...

Nieznajomy.

Sapem zwyczajnym nazywamy.

SCENA X.

Ciż, Anzelm (*futeradem od parasola.*)

Anzelm.

W całym pałacu nie znalazłem innego parasola (*wyjmuje z futerada małą różową parasolkę.*)

Baronowa (*na stronie.*)

Wyraźnie mu zakazałam (*spostrzega parasolkę i parska śmiechem, tak samo i nieznajomy.*) Rożowa parasolka! (*śmieje się.*)

Anze m.

Zresztą wkrótce parasol nie będzie potrzebny, deszcz padać przestaje i słońce niedługo się pokaże.

Baronowa (*idąc do okna.*)

Jakto słońce? Czy być może?

Anzelm.

Za chwilę niezawodnie.

Baronowa (*na stronie.*)

Moi znajomi gotowi przyjechać . Anzelmie, staniesz na tarasie i co 5 minut zdasz mi sprawę o stanie pogody.

Anzelm (*na stronie wychodząc.*)

Będę nowym barometrem.

SCENA XI.

Baronowa, Nieznajomy.

Nieznajomy (*siadając.*)

A więc, zacznę na nowo. Sap zwyczajny.

Baronowa (*na stronie.*)

A to już nudne, wypogadza się, tamci przyjadą, już mógłby sobie odejść (*głośno.*) Opowiadanie pańskie bardzo zajmujące, ale za nim zaczniemy, pozwoli pan jedną zrobić uwagę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)